

Paradoks

Otworzyła oczy. Rano. Słońce jeszcze nie wzeszło. Duszno jest w pokoju, Powietrze ciężkie i przytłaczające. Wstała. Podeszła do okna. Otworzyła je... Tego dnia Kraków był cudowny... Może była godzina piąta. Nad miastem unosiła się gęsta mgła, powietrze na zewnątrz było świeże i czyste. Cisza. Położyła się znów do łóżka. Okryła pierzyną i patrzyła beznamiętnie w sufit. To był chłodny poranek. Bardzo zimny jak na tę porę roku. Cisza. Leżała spokojnie i powoli nabierała powietrza, które wypełniało jej pęcherzyki płucne do granic wytrzymałości. Przy okazji delektowała się jego posmakiem. Sposób, w jaki oddychała przypominał mimo wszystko sapanie, dyszenie. Był to raczej nieprzyjemny świst. Cisza... Słysząc tylko głucho tykanie zegara, które odbija się od ściany do ściany, od ściany do sufitu, od sufitu do podłogi, od podłogi do ściany... Już postanowiła - nie idzie dzisiaj do tej pieprzonej pracy. Nie warto. Nie ma ochoty widzieć znów swojego szefa - zboczeńca, sadystę, dyktatora i hipokrytę. Nie chce dziś spotkać się ze swoimi znajomymi. To idioci, krety. Ona też jest pustką... Cisza, przeraźliwa cisza. Tak głośna, że człowiek ma wrażenie, iż pękają mu błony bębenkowe. Nie wytrzymała nerwowo. Nie znosi ciszy. Wstała. Włączyła wieżę. Włożyła do czytnika swoją ulubioną metalową płytę Godsmack'a. Kto by pomyślał, że ona - księgowa, skromna, subtelna, kulturalna, inteligentna kobieta, tak dojrzała, że aż mdli człowieka, słucha takiej muzyki. Zaśmiała się. Po raz pierwszy od jakiegoś czasu na jej ustach pojawiło się coś na kształt uśmiechu - niezdarne, nienaturalne grymas twarzy. Jej śmiech przypominał bardziej rżenie wygłodzonego konia. Był taki ironiczny i niekontrolowany - głupi, diaboliczny. Znów się położyła. Chce spać, zasnąć, odpocząć. Powieki same się zamykają, kleją. Ziewa. Ma nieświeży oddech, niewygodnie jej.

Godzina szósta. Jak szybko mija czas. Kraków już się obudził. Za oknem, na ulicy, przejeżdżają samochody. Ktoś trąbi, ktoś klnie jak najęty, para zakochanych obmacuje się na ławce, grupa pijacków, w których obudził się właśnie patriotyzm śpiewa "Rotę" Konopnickiej. Paradoks, paranoja! Ona nie zaśnie... Nerwowo przerzuciła kołdrę. Wstała. Wyszła na taras. Dwie sąsiadki - dewotki i plotkary (dwa w jednym) idą na poranną mszę. Gapią się na nią. "Dzień dobry" - woła do nich. Odkładają się. Hipokrytki. Szeptają coś między sobą - ukradkiem spoglądając na jej mieszkanie. "Tak! Był u mnie wczoraj nowy kochanek. Było rewelacyjnie!" - chciały do nich krzyknąć, ale kochanka nigdy przecież nie było. Nie lubi kłamać. Ma już dość kłamstw. Cały świat jest zakłamany... Na jej białe stopy spadła kropla. Spłynęła między palcami. Taka duża i wodnista. Przecież to deszcz... Weszła do pokoju, potem do łazienki. Umyła się. Poszła do kuchni. Zaparzyła herbaty, usmażyła jajecznicę. Herbata miała gorzki smak, jak zresztą całe jej życie - bezsensowne, płytkie i nieznaczące. Gorzką herbatę też można pić. Co z tego, że pozostawia w ustach posmak żygowin. To przez chlorowaną wodę. Na pewno.

Skończyła jeść śniadanie. Wyłączyła w końcu wieżę i wyciągnęła z niej płytę swojego ulubionego zespołu. Podobno członkowie Godsmack'u to sataniści. "I CO z tego?!" - pomyślała. Ona już w nic nie wierzy... Podeszła do regału, na którym znajdował się album ze zdjęciami. Usiadła na kanapie i zaczęła przeglądać fotografie. Tu miała sześć lat, tam była z mamą i z babcią na wycieczce. Babcia już nie żyje... Tutaj była na ślubie swojej przyjaciółki. Przyjaciółki i jej męża już nie ma. Zginęli w wypadku samochodowym. Na kolejnym zdjęciu była cała jej klasa z liceum i znienawidzoną przez wszystkich nauczycielką geografii. Ona także nie żyje. Umarła ze starości albo raczej ze zgryzoty... Odłożyła album. Za dużo wspomnień. Nie ma nastroju na wspomniania. Melancholia - to nie w jej stylu. Zresztą... Nie ma czego wspominać. Zdrzemnęła się.

Otworzyła oczy. Godzina trzynasta. Pod jej oknem (mieszkała na drugim piętrze) banda dzieciaków bawi się w jakąś bezsensowną grę. Nie lubi dzieci. Deszcz już nie pada. Jest duszno, parno. Wyszła na balkon. Patrzy przed siebie. Ta cudowna, zapierająca dech w piersi

panorama Krakowa. Ten zasrany Karków. Niebo. Bloki. Plac zabaw. Ten jej mikroskopijny świat. Ten wstrętny plac zabaw. Ta, stanowiąca toaletę dla psów, piaskownicą. Te rozwrzeszczane, rozpieszczone dzieciaki. Paskudni egoiści, smarkacze. Z czego tak się cieszą. Kretyni... Pora obiadu. Matki - robotnice, wychodzą po swoje dziatki. "Obiad!" - wołają monotonnie i hałaśliwie. "Przecież wasze latorośle nie są głuche!" - chciała krzyknąć... W końcu znów zapadła cisza. Żadnej żywej duszy na podwórzu. Telefon dzwoni. Nie odbierze. To z pracy. Na pewno dzwoni szef, aby powiedzieć jej o tym, że otrzymała wypowiedzenie. Chyba wołałaby dostać dyscyplinarkę. Nie musiałaby szukać pracy, bo i tak by jej nie znalazła. W każdym bądź razie posiedzi sobie na bezrobociu. Wróci do domu, do rodziców i będzie się z nimi użerać. Miało się jej podobno udać w życiu. A była taka zdolna. Szary, głupi i naiwny człowiek. Nie jest deszczem dla Czarnego Łądu. Nie jest słońcem dla ludzi mrozu. Nie jest wiatrem dla zamieci. Nie jest ukojeniem dla poparzonego przez życie. Jest pustką, samotnością,, jest niczym. Idiotka, idealistka. "Wymyśliłeś Boże pudełko na śmierć" - stwierdziła nieśmiało. Teraz nadeszła chwila na jej monolog o życiu i śmierci. Nic jednak nie mówi. Nie ma nic do powiedzenia. Milczy. Brak jej odwagi. Jak zawsze jest tchórzem, Nie wierzy...

Wyszła za poręcz tarasu i przechyliła się do przodu, wciąż jeszcze trzymając się jej kurczowo. "Puścić się, czy się nie puścić? Zabić się, czy się nie zabić? Oto jest pytanie." - wyszeptwała. Mogłaby się powiesić, ale wisielec ma później paskudną szyję i przekrwione oczy. Ona chce ładnie wyglądać w trumnie... Skacząc z balkonu raczej nic z niej nie zostanie. Może tylko jakaś miazga. "Na trawniku będzie pełno krwi" - pomyślała. Może zgniecie przy okazji jakiegoś ślimaka albo spadnie na wstrętne psie gówno. W każdym bądź razie będzie to osiedlowa sensacja. Lepiej byłoby jednak, gdyby zażyła tabletki. Tylko, że tych tabletek nie ma. Podciąć sobie żyły? Też nie zamierza. Brak jej odwagi. Lepiej jednak wyskoczyć przez ten balkon. Tak, wyskoczyć. I po prostu już nie żyć. Być potępionym i przynajmniej wiedzieć dlaczego. Ludzie i tak pomyślą, że to był nieszczęśliwy wypadek. Przecież ona była taką pobożną, kulturalną i spokojną dziewczyną. Pieprzyć ludzi! Ciekawe ile osób będzie za nią płakać. Ile będzie wieńców i czy w ogóle będzie jakiś pogrzeb... I czy w ogóle ktoś wie o jej istnieniu...

Rozpłakała się...

Skoczyła...

Złamała nogę...